

PO KILKULETNIJ PRZERWIE NA JAROCIŃSKĄ (I NIE TYLKO!) SCENĘ POWRÓCIŁA GRUPA S.O.U.L. DLACZEGO WŁAŚCIWIE GRAJĄ? KTO ICH INSPIRUJE? I DLA KOGO NIGDY NIE DALIBY KONCERTU? DOWIEDZ SIĘ SAM...

Samy sobie

Jak powstał zespół?

Jacek Szczepaniak: Pewnego dnia ja i Tomek (Friebe) stwierdziliśmy, że w Jarocinie po prostu brakuje kapeli rockowej z prawdziwego zdarzenia. To było mniej więcej na przełomie 1999-2000 roku. Od słowa do słowa, skrzyknęliśmy parę osób i po pewnych przetarasowaniach skład zespołu się ustalił. Graliśmy przez dwa lata, po czym grupa z różnych powodów zawiesiła działalność. Wreszcie we wrześniu 2006 roku udało nam się reaktywować i wzięliśmy się ostro do pracy.

Dlaczego wznowiliście działalność?

J.S.: Bo po prostu nam tego brakowało. Chcieliśmy stworzyć zespół, który grałby dobrze, rzetelnie, a przede wszystkim grałby rocka.

Tomasz Friebe: Co wcale nie oznacza, że my gramy już tak dobrze... (śmiech)

J.S.: Ale damy z siebie wszystko. I póki będzie nas to bawiło, będziemy to robić.

Czy wydaliście wcześniej jakąś płytę?

J.S.: Przed wydaniem tego krążka nagraliśmy tylko dwie demówki w nakładzie sięgającym góra kilkaset sztuk, raczej wyłącznie dla tych, którzy bardzo chcieli taką płytkę dostać.

A sukcesy? Na pewno występowaliście na jakichś festiwalach, otrzymywaliście nagrody.

Darek Cieślak: Naszym pierwszym poważnym festiwalem po reaktywacji było „Śpiewajmy wszyscy na rockowo” w Ostrowie Wlkp., gdzie zajęliśmy II miejsce, potem był jeszcze „Student Rock Festiwal”, z którego wróciliśmy z Nagrodą Publiczności i Nagrodą Dziennikarzy. Na „Rock Blues Balaton” w Miejskiej Górcie oprócz III nagrody otrzymaliśmy indywidualne wyróżnienia: Tomek - dla najlepszego gitarzysty festiwalu, a Jacek dla najlepszego basmana. Później pojawiła się propozycja zagrania na „Blues Express” - tam daliśmy koncert w specjalnie przystosowanym do tego wagonie, w pociągu jadącym z Poznania do Piły. Do tego dochodzą „Spring Rock Festiwal” i Noce Rockowe we Wrześni, gdzie byliśmy supportami TSA i Dżemu. Daliśmy też koncert w więzieniu, o zaostrowym rygorze

we Wronkach, zagraliśmy dla 150 skazanych, którzy nigdy nie wyjdą na wolność. Przeżycie było niesamowite, chyba także dla nich, bo ponownie nas zaproszono.

J.S.: Oprócz tego jesteśmy dyżurną

kapelą, przegrabiamy płytę, przerabiamy dźwięk, czyszczą go, dopracowują. My staraliśmy się, aby krążek dawał dokładnie to, co nasza muzyka niesie na co dzień, więc dźwięk na niej jest niemal nienaruszony, nie-

J.S.: Nie potrzebujemy nikomu nic udowodnić. Mamy tylko pewną zasadę: jeśli damy koncert, to dla takiego grona, które tego typu muzyki słucha, lubi i przy tym się bawi. Nie zagramy na pierwszym lepszym festynie, gdzie ludzie przyjdą, bo jest za darmo, a matki będą przy niektórych kawałkach zakrywać dzieciom uszy. Wolimy zagrać dla 50 osób, które faktycznie czują rocka, niż dla 1500 przypadkowych gapiów.

Identyfikujecie się z tym, o czym śpiewacie?

D.C.: Ta płyta jest głównie o miłości, rozstaniach, takich życiowych sytuacjach. Każdy z nas ma jakieś doświadczenia, mniej lub bardziej bolesne.

J.S.: Nie jesteśmy kapelą punkową, więc nie będziemy śpiewać o nierównościach społecznych, globalizacji, biedzie. My śpiewamy o emocjach, uczuciach, a miłość w swoich przejawach jest ich nieodłącznym elementem - mogą tylko dodać, że każdy tekst ma w sobie kawałek mnie - bo gdzieś kiedyś tam coś się takiego wydarzyło - a pisząc o tym po latach mam do tego nieco inny stosunek, pewien dystans....

Komu zadedykowana jest ta płyta?

J.S.: Długo się nad tym zastanawialiśmy, aż w końcu doszliśmy do wniosku, że dedykujemy ją sami sobie.

T.F.: Ktoś inny za tydzień, za rok, za 5 lat przestanie może słuchać tej płyty. A kiedyś my, zgarbieni dziadkowie o lasce, usiądziemy sobie w fotelach, odtworzymy płytę i będziemy wspominać, jak, kurczę, fajnie było nagrać własną płytę. Włożyliśmy w to naprawdę dużo pracy.

Jakie są krótko- i długofalowe plany zespołu?

J.S.: Na razie stawiamy na przyszłoroczne festiwale. Chcemy też coraz więcej pracować w studio, tak, aby co roku tworzyć coś nowego. Mamy w planach trasę promocyjną dla płyty w naszym regionie. Jeśli uda nam się przebić w Wielkopolsce, Lubuskiem oraz na Dolnym i Górnym Śląsku, zaczniemy myśleć o szeroko rozumianym inwestowaniu w sprzęt i nagrania studyjne oraz objechaniu kraju.

Rozmawiała
KATARZYNA KOWALSKA



kapelą większości zlotów harley'owych. To naprawdę wspaniałe uczucie, grać dla grupy ludzi, którzy naprawdę cenią to, co robisz i często przejeżdżają kilkadziesiąt lub nawet kilkaset kilometrów po to, żeby zabawić się z nami przez parę godzin.

Czy trudno było wydać tę płytę?

J.S.: Cóż, jak chyba każdą płytę. W tym miejscu zaznaczamy nasze serdeczne podziękowania dla Gazety Jarocińskiej za wszelką pomoc i patronat nad naszym projektem.

T.F.: Ta płyta to wydawnictwo autorskie. Sami długo nad nią pracowaliśmy i na nią odkładaliśmy. Powstała w studio „CZAD” Sławka Mizerkiewicza - na co dzień gitarzysty Pidżmy Porno i prywatnie naszego dobrego kumpla.

J.S.: Znane zespoły często przez

obrobiony w jakiś misterny sposób - my tak po prostu brzmimy. Mimo ograniczonego nakładu środków, płyta jest, nie tylko naszym zdaniem, doskonałej jakości.

Wzorujecie się na kimś? Macie jakieś autorytety?

T.F.: Nie inspiruje nas nikt w szczególności, a już na pewno żaden polski zespół. Słuchamy takiej muzyki, czujemy ją i gramy od siebie to, co lubimy. Nic na siłę.

J.S.: Myślę, że każdy, kto posłucha tej płyty zorientuje się, że nikt z nas nie słucha disco-polo, reggae ani trash metalu. Wszyscy słuchamy rzetelnego rocka. A jeśli już można mówić o czerpaniu z jakiegoś skarbcza, to jest to rock ogólnościowy, więc na pierwszym miejscu znajdzie się na przykład dla mnie Led Zeppelin.

Chcecie coś przekazać tą płytą, coś udowodnić?

mówiąc delikatnie, wątpliwej moralności, męskiej przyjaźni, która przetrwa wiele i żalu do wszystkich materialistów tego świata. Bez wątpienia analogia do „katharsis” nie byłaby zbyt daleko idącym wnioskiem.

Wrzucmy więc na odtwarzacz niepozorny czarny krążek i przekonajmy się, czy czasy jarocińskiego rocka mają swoją świetność za sobą, czy raczej całkiem spore szanse na renesans. Co my tu mamy...?

„Easy Ryder”, czy „Prawdziwy świat” to klasyczne kawałki rockowe, choć różniące się od siebie brzmieniem. Mimo że sama kapela nie określa się mianem mającej cokolwiek wspólnego z punkiem, to np. w utworze „Show business” można wyczuć, oprócz nieprzeciętnych zdolności gitarzysty, tego typu klimatu. Nie bez odzewu pozostaje także fascynacja Led Zeppelin i innymi czołowymi formacjami muzyki rockowej. No i czym byłaby ta płyta bez choćby „Nicolle” - wyciskacza łez utrzymanego w konwencji ballady miłosnej do pięknej, acz zdradliwej i swobodnie prowadzącej się amatorki zabaw z „białym prochem”.

Słowem - rock'n'roll'owy romantyzm w wersji liryczno-basowej.

„Gorzka lekcja”, „Zabawa z ogniem” czy „Przygoda” przenoszą nas natomiast w świat przykrych doświadczeń sercowych, nauczek od losu i skazanego na zagładę idealizmu, tłamszonego przez szerzenie się postawy „lepiej mieć niż być”.

Dodatkowym walorem płyty jest świetna jakość dźwięku i fakt, że można ją wrzucić na praktycznie każdy odtwarzacz. Słuchając, ma się wrażenie, że jest się na koncercie, muzyka niesie w sobie niemal taką samą energię, jak na żywo. I o to chodziło!

Debiut S.O.U.L., który dołączył tym samym do „elitarnego” (i wąskiego!) grona twórczych wykonawców jarocińskich, można zaliczyć do całkiem udanych. Miejmy nadzieję, że nie osiadą na laurach i dalej doskonalić będą swój warsztat. A jest przecież o co walczyć: zyskanie uznania jarocińskiej (i nie tylko) publiczności to nie lada wyzwanie!

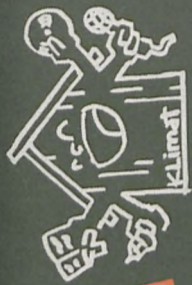
KATARZYNA KOWALSKA



Rock, blues, a nawet pobrzmiewający miejscami jazz - tak krótko można by scharakteryzować zawartość nowej płyty zespołu S.O.U.L. o tym samym tytule. Każdy, kto słucha polskiego, jak i zagranicznego rocka znajdzie tu coś dla siebie. Po kilkuletniej przerwie jarocińska kapela w składzie: Darek Cieślak (wokal), Tomek Friebe (gitara solowa i akustyczna), Mateusz Nowakowski (gitara solowa i akustyczna), Jacek Szczepaniak (gitara basowa i chórki) oraz Dawid Grzech (perkusja) powróciła w dobrym stylu, wydając pierwszą od dawna składankę rockową jako reprezentanci rodzimego jarocińskiego rocka.

Każdy, kto pisze teksty dla zespołów rockowych, ociera się w nich o własne przeżycia - ten, kto stworzył teksty dla S.O.U.L., przelał na papier swoje wspomnienia niemal rodem z lat 80-tych - upojne noce pod gołym niebem w ramionach ukochanej o,

tyln



m

nieokrzesany dwutygodnik młodzieżowy

Nr 25 (113)
14 grudnia 2007

forum **młyna**

CONTEMPORARY NOISE QUINTET

11.12, Poznań
Blue Note Jazz Club,
godz. 20.00

MARIA PESZEK

14.12, Poznań
Multikino 51,
godz. 18.00

HAPPYSAD

14.12, Kalisz
Pod Muzami,
godz. 19.00

młyna

nieokrzesany dwutygodnik młodzieżowy
Młyna: Nieokrzesany dwutygodnik młodzieżowy, kontakt: adres redakcji z dopiskiem „Młyna” lub e-mail: mlyna@gj.com.pl

MŁYNOWCY: Karol Górski, Tomasz Grygiel, Katarzyna Kowalska, Olga Świdarska, Natalia Mielcarek

STARSZA MŁYNOWA:
Anka Ulatowska

Recki subiektywnym i laickim okiem

filmy

życie za prawdę



Styczeń 2002, rok po zamachu na nowojorskie wieże World Trade Center, Karaczi - pakistańska metropolia Trzeciego Świata. Typowy dla muzułmańskich krajów zgilek za dnia, a groza nocą. Ogniwo światowego terroryzmu, a w samym jego centrum dwoje dziennikarzy „zakochanych w pracy i... sobie” - Mariane i Danny Pearl. Ostatni dzień w Karaczi, pożegnalna kolacja, ostatni wywiad, ostatni pocałunek, rozstanie - pozornie na chwilę. Nagle, jak grom z jasnego nieba, we wszystkich światowych stacjach telewizyjnych pojawia się informacja o porwaniu amerykańskiego dziennikarza „The Wall Street Journal” - Danny ego Pearla. Świat zamiera w niemym gniewie i oczekiwaniu na szczęśliwe, wierzyliśmy, zakończenie. Dla Mariane - żony porwanego przez Talibów dziennikarza, rozpoczyna się wyścig z czasem oraz śmiercią. W ciągu kilku dni w sprawę angażują się władze kilku państw i najpoważniejsze agencje rządowe. Na oczach milionów rozpoczyna się dramatyczna walka z siatką Al-Kaidy, z fałszywie pojmanym pojęciem wiary, głęboko zakorzenioną nienawiścią i terroryzmem w jego najkrwawszej postaci. Zakończenie tego wyścigu na pograniczu życia i śmierci kończy się w miesiąc później, gdy amerykańscy dyplomaci otrzymują kasetę wideo z nagraniem sceny śmierci reportera, któremu odcięto głowę, a ciało pokrojono na dziesięć części.

Żadna informacja ze szklanego ekranu nie byłaby w stanie dotrzeć do nas tak głęboko, jak osobiste, pełne cierpienia i emocji wspomnienia kobiety, której świat nagle legł w gruzach. Przez 100 minut trwania filmu jego rytm, prędkość i napięcie zmuszają do przeżywania razem z bohaterami każdego fragmentu sekunda po sekundzie. „Cena odwagi” powstała bowiem na bazie opisanych w książce „Życie i śmierć mojego męża” wspomnień Mariane Pearl i to właśnie ją autorzy uczynili główną bohaterką filmu, z nią obserwujemy przebieg tamtych burzliwych i dramatycznych wydarzeń. Nie koliduje to jednak z temem filmu ukazującym także problemy dotyczące całego świata - przede wszystkim walkę z terroryzmem. „Cena odwagi” w reżyserii Michaela Winterbottoma i znakomitą rolą Angeliny Jolie nie jest zwykłym filmem dokumentalnym, suchą opowieścią o porwaniu dziennikarza i dokonanej na nim egzekucji. Jest szczegółowym, pełnym emocji sprawozdaniem z pasji, jaką dla obydwójga stała się praca reporterska, brutalnie złamanej miłości oraz rozpaczliwej walki o życie. Również aspekt nieporozumień na tle religijno-etniczno-politycznym został przedstawiony w filmie znakomicie. Reżyser nie dzieli ludzi na tych dobrych i złych. Nie ocenia, lecz pokazuje tylko, że są i tacy, którzy swojej prawdy szukają mordując niewinnych. Próba zrozumienia istoty terroryzmu jest bowiem niczym wyprawa do krainy ciemności - uważa Mariane. Jednak, co chyba najbardziej w „Cenie odwagi” uderzające, to właśnie jej wewnętrzna siła, odwaga i niegasnąca nadzieja. Postawa Mariane zaskakuje tym bardziej, że tamten czas okazał się przełomowy nie tylko ze względu na osobistą tragedię - kobieta była bowiem w 5 miesiącu ciąży. Jednak nienarodzone jeszcze wtedy dziecko - owoc miłości, w pewien sposób złagodziło ból po stracie ukochanego męża. Jak miała powiedzieć jakiś czas później, syn Adam jej dał przyszłość, a Danny'emu wieczność.

OLGA ŚWIDERSKA

„Cenę odwagi”, o ile nie „należy”, to przynajmniej warto zobaczyć. Chociażby po to, aby zrozumieć, że zdarzenia rozgrywane się w Pakistanie, Afganistanie czy Iraku nigdy nie zaistniałyby globalnie, gdyby nie całe zastępy dziennikarzy, których odwaga i rzetelność dają nam obraz świata w zakresie, w jakim sami nie jesteśmy w stanie go zobaczyć. W ciągu pięciu lat prawie 230 dziennikarzy poniosło śmierć wykonując swoją pracę w najbardziej zapalnych zakątkach świata. Należał do nich także Danny, który za świadectwo prawdzie zapłacił najwyższą cenę - własne życie.

„Cena odwagi”, „Mighty Heart”, USA, Wielka Brytania 2007, reż. Michael Winterbottom, scenariusz John Orloff, w rol. głównych Angelina Jolie, Dan Futterman, Sajid Hasan

Ocena 8/10

high school english contest, czyli zmagania młodych anglistów



W ZSO w Jarocinie już po raz trzeci odbył się Powiatowy Konkurs Języka Angielskiego. 20 listopada w szranki stanęło dziewięcioro młodych, zdolnych amatorów tego języka obcego, wyłonionych spośród kilkudziesięciu startujących w szkolnych eliminacjach uczniów. Po raz pierwszy brali w nim udział uczniowie z powiatu średzkiego, zresztą nie bez sukcesów.

Finaliści zmierzli się z takimi tematami, jak „Zyski i ryzyko płynące z odchudzenia się”, „Wpływ wysokiego poziomu edukacji na tworzenie lepszego społeczeństwa” lub „Jesteśmy panami czy niewolnikami technologii?”. - Poziom był bardzo wysoki, nie spodziewałam się aż takiego stopnia trudności i rywalizacji. Nie dostaliśmy wcześniej tematów do przygotowania, byłam zaskoczona nawet samą formą konkursu, nie miałam pojęcia, że to będzie debata. Szliśmy „w ciemno” - tak wypowiedziała się Kamila Piętka, uczestniczka konkursu z ZSP nr 1. - Naprawdę bardzo wysoko oceniam wszystkich moich przeciwników, każdy na pewno bardzo się denerwował - dodała.

W pierwszej części konkursu wszy-

scy uczestnicy wypowiadali się krótko na każdy z tematów. Na podstawie zaprezentowanych wtedy umiejętności językowych, m.in. wymowy, zasobu słownictwa oraz poprawności gramatycznej, jury składające się z nauczycieli języka angielskiego wyłoniło pięcioro ścisłych finalistów. Oni, oprócz wyrażenia własnej opinii, musieli również podjąć z innymi dyskusję na dany temat.

Opiekun konkursu, anglistka Anna Szytura, przyznała, że wybór był w tym roku bardzo trudny ze względu na wysoki, wyrównany poziom i sporą rywalizację między finalistami. - Jestem bardzo zadowolona z poziomu, znacznie przewyższył on zeszłoroczny rezultat - stwierdziła. - W tym roku zmieniliśmy nieco formułę konkursu - uczestnicy nie dostali wcześniej gotowych tematów do opracowania, przygotowywali swoje krótkie przemowy przez 5 minut przed wystąpieniem, więc było to o wiele ciekawsze i dawało rzeczywisty obraz ich umiejętności. Muszę też dodać, że wszyscy uczestnicy byli znakomicie przygotowani językowo - mówiła.

Zdobywcy I i II miejsca byli bardzo mile zaskoczeni wynikiem. Pierwszy

raz startowali w tego typu konkursie. - W naszej okolicy nie organizuje się takich zawodów, więc cieszymy się z wygranej tym bardziej - tak swoje wyniki skomentowali Szymon Dolata i Natalia Turkalec. - Byliśmy bardzo zdenerwowani, także dlatego, że w ogóle nie mieliśmy pojęcia, jak coś takiego wygląda. Nie było jednak problemów z przygotowaniem naszych krótkich „speeches” (ang. „przemówienia”), tematy były ciekawe i dawały szerokie pole do popisu - dodali.

Zwycięzcy otrzymali profesjonalne, tematyczne słowniki języka angielskiego, ufundowane przez wydawnictwo Pearson Languages.

KASIA KOWALSKA

Po zaciętych dyskusjach jury postanowiło przyznać następujące nagrody:

- I. miejsce - Szymon Dolata (Środa Wlkp.)
- II. miejsce - Natalia Turkalec (Środa Wlkp.)
- III. miejsce - Wojciech Eliasch (Jarocin)
- IV. miejsce wyróżnienie - Łukasz Praczyk (Jarocin)

Mamy dla Was 25 płyt zespołu S.O.U.L. Wystarczy, że odpowiesz prawidłowo na 3 pytania i kupon dostarczysz do redakcji albo wyślesz pocztą do 20 grudnia. Rozwiązanie i lista zwycięzców w następnym numerze „Młyna”.

1. Co oznacza skrót S.O.U.L?
2. Podaj tytuły wcześniejszych dwóch płyt zespołu.
3. Którzy członkowie zespołu grają od początku?

Czeka na Was także jedna składanka The 2nd Smooth Jazz Avenue, na której jedną z piosenek wykonuje jarocińska grupa. PIN.SET. Zasady są podobne, należy odpowiedzieć na 3 pytania i dostarczyć lub wysłać kupon do 20 grudnia. Zwycięzcę ogłosimy w następnym numerze „Młyna”.

1. Czyj cover na płycie wykonują jarocinianki?
2. Wymień chociaż jeden z programów telewizyjnych, w których zespół wziął udział.
3. Kto był głównym pomysłodawcą zespołu?



Odpowiedź:

1.
2.
3.

Imię i nazwisko.....
Adres.....



Odpowiedź:

1.
2.
3.

Imię i nazwisko.....
Adres.....

Wypełnione kupony przesyłajcie lub przynieście na adres redakcji: ul. Wolności 1a, 63-200 Jarocin. Zwycięzców wylosuje zespół Młyna.

na imię mi... bulimia

Nie nazwę jej po imieniu - prawdziwym, ani tym zmyślnym. Na usta ciśnie się jednak inne, adekwatne określenie. Nie trzeba być bowiem wprawnym obserwatorem, aby dostrzec pełne blizn dłonie, spierzchnięte, popękane w kącikach usta, opuchniętą i nienaturalnie czerwoną twarz. Początkowo nie chciała o tym rozmawiać. - *Nie ma się czym chwalić* - rzuciła na odchodnym. Jednak decyduje się na rozmowę. Płacze się w relacji... Niemożliwe zdaje się odtworzenie z czeluści wspomnień kilku ostatnich lat oraz opowieść o równie bolesnej terażniejszości. - *To dla mnie straszny wstyd* - łamie jej się głos. Idzie niemalże nie odrywając stóp od ziemi, zgarbiona, zrezygnowana i zmęczona, bez cienia radości, energii. Zresztą podobno mało komu dane jest zobaczyć ją z uśmiechem na twarzy. - *Tu możemy spokojnie porozmawiać?* - pytam. - *Wiesz, domownicy generalnie lubią kuchnię - to takie miejsce rodzinnych spotkań, wspólnych posiłków...* - *Ja jej nienawidzę* - odpowiada nie do końca na moje pytanie i czuję na plecach jej wzrok, nieme oczekiwanie na reakcję. Siada i nerwowym gestem przykładła dłonie do policzków. Kurczowo zaciska pięści, sięga po chusteczki, podnosi do ust szklankę soku, po chwili namysłu odstawia ją, bierze głęboki oddech i... rozpoczyna swoją historię.

Dla naszej bohaterki - umownie nazwanej Bulimiczką, wszystko zaczyna i kończy się na jedzeniu. Życie dzieli na dwie epoki - przeszłość, wolną od choroby oraz terażniejszość w jej najbardziej zaawansowanym stadium. Opowieść o dramatycznej, toczącej dzień w dzień walce z bulimią zakrawa o film, choć nim nie jest. Jej dzieciństwo oraz późniejszy wiek dorastania to pasmo równomiernie rozkładanych rozczarowań oraz wieczne dążenie do perfekcjonizmu. - *„Taniec” z bulimią rozpoczął się w okresie dojrzewania - nie mogłam pogodzić się z zachodzącymi w moim ciele zmianami* - mówi. Jak wiele dziewcząt ograniczała posiłki, interesowała się dietami. - *Dokładnie pamiętam, że kupiłam wtedy książkę z tabelami kalorii. Z dnia na dzień przestawałam jeść, aż postanowiłam głodzić się do czasu, gdy nie osiągnę docelowej wagi. Dopięta swego - osiągnęła sukces okupowany wielodniowym głodem - schudła tak gwałtownie, że pozytywnie zaskoczyła nagłą zmianą nie tylko siebie, ale i całe swoje otoczenie. Zyskała upragnioną aprobatę i samozadowolenie. - Kiedy podczas mojej rygorystycznej diety pierwszy raz odważyłam się zważyć, pamiętam, że gdy czarno na białym zobaczyłam ogrom mojego sukcesu, podniosłam wagę i zaczęłam ją całować w geście triumfu. To absurdalne, ale całe moje życie nagle skupiło się na odchudzaniu, dietach, kaloriach - wspomina. Jednak, jak to przeważnie podczas głodówki bywa, nadchodzi moment, w którym ciało już nie domaga się posiłku, a jedzenie staje się bardziej potrzebą psychiczną niż fizyczną. Dopiero*

wtedy na dobre rozpoczęły się problemy. - *Bardziej niż żołądek, jedzenia domagała się moja dusza. Chciałam zniwelować gorzki smak na języku, zawroty głowy, osłabienie...* - *Byłam przeraźliwie głodna i... samotna.* Któregoś dnia pochłonęła czekoladę i zagryzła dietetycznym jogurtem. Na tym się nie skończyło. - *Potem były ciastka, makaron, ziemniaki, których smaku podczas diety niemalże zapomniałam* - wylicza. Wpadła w panikę, ogarnęły ją wyrzuty sumienia tak silne, że zamknęła

bitą śmietaną, chipsy, jabłka czy kurczaka. Racionalnie odżywiającemu się człowiekowi, mieszanki, o których opowiada, zdają się nieprawdopodobne. Bulimiczka potrafiła pochłonąć do 20.000 kalorii dziennie i powtarzać sesje w toalecie nawet trzydzieści razy tygodniowo, przy czym przeciętne zapotrzebowanie kobiety w jej wieku wynosi około 2.000 kalorii. Z czasem „zwykłe” metody prowokowania wymiotów zaczęły jednak zawodzić. - *Już nie miałam siły kolejny raz wkładać palców*

mogłam zwymiotować, zaczęłam płakać z bezsilności, zastanawiać się co ja robię... Zaczęłam tracić wolę życia, nie chciałam dłużej tego ciągnąć... Powoli zaczęły zacierać się wyraźne granice między bulimią a depresją. Bulimiczka zniechęciła swoje ciało - za jej mniemaniu zbyt grube uda, duży brzuch, „tłuste ramiona” oraz samą siebie - przede wszystkim za brak silnej woli. Jednocześnie jedząc niemalże do utraty przytomności, cały czas chciała schudnąć. Miewała więc i okresy głodówek. Mówi

zmyśle rywalizacji, którym zależy na pozycji i sukcesach szkolnych, zawodowych czy towarzyskich. Typowa młoda bulimiczka to dobra uczennica, której iloraz inteligencji albo znacznie przewyższa średnią, albo rekompensowany jest przez wyteżoną pracę. O ile chorych na anoreksję jest około 1 na 100 dziewcząt, o tyle zachorowalność na bulimie jest około cztery razy wyższa. Zadawanie sobie cierpień - niekontrolowane objadanie się i późniejsze wymioty, które uważa się zwykle za przejaw masochizmu, dla bulimika są postępowaniem całkowicie normalnym. Cały czas pragnie zdyscyplinować i ujarzmić ciało, podporządkować je woli, aby duch w końcu mógł się od niego oderwać, a jednak nie wytrzymuje napięcia i pomimo wielokrotnych „nieodwołalnych” postanowień, ponownie sięga po wszelkie produkty z kategorii „zakazanych” - nadmierne kalorycznych, na co dzień usuniętych z jadłospisu. Bulimiczka zaskoczona przez atak są w stanie jeść produkty częściowo lub całkowicie zamrożone, niedopieczone, całkowicie surowe, a nawet... resztki odszukane w śmietniku. Ciężko to sobie wyobrazić - brzmi absurdalnie. Jednak znacznie mniej absurdalny jest fakt, który muszą uświadomić sobie osoby chore, ich rodziny, przyjaciele, najbliższe otoczenie oraz wszyscy inni, gwoli przestrogi - bulimia w wielu (niekoniecznie skrajnych) przypadkach prowadzi po prostu do samobójstwa.

Nasza bohaterka nadal kieruje się zasadą „wszystko albo nic”. Popada ze skrajności w skrajność - przez kilka dni wytrzymuje narzucony sobie rygor ograniczając swoje posiłki do czerwonej herbaty, aby potem pożerać dosłownie wszystko. Ma plany i marzenia - jak każdy z nas. Mówi, że wszystko poprzedzone jest jednak całkowitym uzdrowieniem - zarówno ciała, jak i (albo przede wszystkim) duszy. Chce wyzwolić się z sidła bulimii. Do tej pory choroba dokonała już wielkiego spustoszenia - w jej życiu, ciele, organizmie. Gwałtowne wahania wagi, ciągłe osłabienie, chwiejące się zęby, zmiany skórne, niemalże nieustanny ból żołądka... Poza tym brak jej wewnętrznej siły, często popada w apatię, miewa depresje, coraz trudniej podnosić jej się z klęsk, załamują ją najmniejsze niepowodzenia. Dochodzi do tego strach - przed reakcją nietolerancyjnego otoczenia. Dlatego zastrzega całkowite prawo do zachowania wszelkich danych mogących wskazać na nią, jako opisywaną Bulimiczkę. Nie chce, aby aktualne problemy zaważyły na jej dalszych losach. Czuje się naznaczona przez chorobę, a historia nadal pozostaje niedokończona. Przyszłość? Jest prosta, choć osnuta mgłą strachu, zwątpienia w własne siły - chce zamknąć bulimie w szufladę wspomnień i sama dopisać zakończenie jednego, choć jakże bolesnego rozdziału jej życia - oczywiście szczęśliwe.

OLGA ŚWIDERSKA



się w łazience i włożyła do gardła palec. - *To było niemalże mechaniczne. Nie mogłam zwymiotować, na siłę wciskałam do gardła całą pięść. Dopiero później dowiedziałam się, że pierwszy raz nigdy nie jest łatwy. Mimo tego poczułam się lekko. Zwymiotowałam wszystko...* - mówi. Znowu odzyskała kontrolę nad własnym ciałem. Jednak tylko na chwilę.

Wymioty stały się rytuałem. Bulimiczka objadała się i wymiotowała na zmianę, czyniąc spustoszenie w kuchni i w łodówce. Przypominała jamochłona, który jest w stanie pożreć wszystko, co spotka na swojej drodze - ogórki,

do gardła, dlatego zastosowałam metody bardziej doświadczonych ode mnie bulimiczek. Początkowo jedynie uciskała na siłę żołądek, co po pewnym czasie także nie odniosło zamierzonych skutków. Odkryła inną, zdecydowanie bardziej drastyczną metodę... - *Najłatwiejszy i najszybszy sposób to połknąć mały przedmiot zawieszony na nitce i powoli wyciągać go z gardła. Wtedy wymioty murowane - tłumaczy dziewczyna. - Jednak pewnego razu, gdy zjadłam dosłownie wszystko, co znalazłam i rzuciłam się z nie mniejszym apetytem na... kostki rosółowe, a potem nażarłam się waty, bo nie*

z ironią, że czasami na pięć dni w tygodniu staje się anorektyczką, żeby w weekend załamać się i ponownie wylądować z nosem w klozecie. - *Soboty i niedziele zawsze są trudniejsze... Wiesz, imprezy, zabawy, niedzielne obiady... Nie jestem w stanie się opanować. Zachowuję się jak wygłodniałe zwierzę, które je tyle i w takim tempie, jakby za moment ktoś miał mi sprzątnąć talerz sprzed nosa - relacjonuje - a potem znowu wymiotuję. W ten sposób koło się zamyka.*

Bulimia dotyka najczęściej dziewczęta z wyższych warstw społecznych, o zaostrozonym